

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie:** z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

**OGŁOSZENIA** po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

## TREŚĆ NUMERU:

Błędy ludzi niepodległych (III), p. Henryka Lukreca.  
Zbrodnie, kary i sądy wyjątkowe (odcinek), przez W. Makowskiego.  
Na widnokręgu politycznym, przez p. Właskiego.  
Echa.

Z powodu „Votum Separatum”, p. Gustawa Beena.  
Z Cyklu Arcana (Mała Dalila), p. Wacława Wolskiego.  
Krytyka i sprawozdania: Z odczytu p. W. Nalkowskiego.  
Z teatru, p. J. M. Muszkowskiego  
Kronika.  
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 53).

## Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

### BŁĘDY LUDZI NIEPODLEGŁYCH.

#### III.

Cechą ludzi rozumnych i myślących jest powściągliwość w wypowiedaniu sądu w dziedzinach wiedzy, przez nich nieopanowanych. O tem zapomniał p. Lambro w swojej krytyce doktryny nieistniejącej. Szczytnem jest zadanie rozbijania dogmatów. Na gruzach ich można wznosić nawet rzeczy pomnikowe. Lecz należy uprzednio stwierdzić istnienie dogmatu, opanować go i otoczyć spiszowym łańcuchem dowodów i twierdzeń, p. Lambro tego nie uczynił. Zgrupował natomiast cykl najważniejszych zagadnień, rzekomo przez marxizm negowanych, i uwięził go zarzutem, że „wobec wielkiej idei wspólnej przekreślono wszelaki indywidualizm”.

Nieścisle to twierdzenie powstało wskutek ignorowania albo niezajomości rzeczywistych warunków. Krytyk niepostrzeżenie rzeczy dokonanych i istniejących i dlatego nie może oprzeć swoich zarzutów na właściwych podstawach.

W zaraniu epoki kapitału indywidualizm spełniał jeszcze rolę głównego motoru w rozwoju społecznym. Nie tysiączne grupy ludzi, objęte fabryką, lecz jednostki tworzyły podłoża dla ówczesnej kultury materialnej. Indywidualizm wytwórczy, będąc regułą życia ekonomicznego, stwarzał warunki współzawodnictwa, w których jednostki przeciwstawiały się sobie, lub łączyły się dla określonych celów. Wytwórczość społeczna, będąca zwiastunem zagłady wytwórczości indywidualnej, była przezornie zabraniana, później zaś regulowana przez odpowiednie statuty cechowe i prawodawstwo. W większym przedsiębiorstwie handlowym i manufakturze upatrywano już wówczas niebezpieczeństwo dla wysiłków indywidualnych i nierówność atrybutów w walce o egzystencję. Walka opanowanie na rynku niezależnego wytwórcy, prowadzo-

na przez cechy z wznoszącym kapitałem handlowym, zakończyła się zwycięstwem zasady wytwórczości społecznej. Potrzeby masowego zbytu utorowały drogę dla masowej produkcji. Obecnie indywidualizm ekonomiczny wyraża się w spożywaniu indywidualnym, zaś główną regułą rozwoju materialnego jest praca zbiorowa w fabrykach, hutach, kopalniach. Rzemieślnik, który wytwarza swój przedmiot zbytu od początku do końca — jest indywidualistą. Współczesny robotnik przemysłowy, wyspecjalizowany w pracy nad drobnym ułamkiem przedmiotu — produkuje mechanicznie i na towarze nie wyciska swego piętna indywidualnego. W miarę rozwoju kapitału znika powoli *samodzielny* wytwórca indywidualista, a staje w zgiełkowej fabryce automat pracy — człowiek, dostosowany do biegu maszyny.

Upadek indywidualizmu w ustroju nowoczesnym rozpoczął się zatem u podstaw ekonomicznych dzisiejszych społeczeństw. Widmo specjalizacji, automatyzmu i jednostajności, towarzyszące upadkowi rzemiosła i drobnego przemysłu, wywołało reakcję w kołach zagrożonego drobnomieszczanstwa i wpłynęło na ukształtowanie się doktryn indywidualistycznych. Doktryny te, będąc odbiciem roli społecznej warstw średnich, głoszą ponowne zindywidualizowanie społeczeństw na zasadzie postępu w technice, której zdobycze oddane być mają samodzielnym wytwórcom przy pomocy państwa demokratycznego. Przeciwnie, doktryna liberalnych ekonomistów, będąc wyrazem klasy wielkich posiadaczy przemysłowych — uwiecznia dzisiejszy stan rzeczy i uważa formę prywatnej własności, rosnącej dzięki pracy zbiorowej, za ostatnią z form posiadania, po za którą rozwój gospodarczy wyjść nie może. Natomiast teoria marxizmu, analizując podstawy ekonomiczne ustroju kapitalistycznego, opiera swe założenia na prawach rozwojowych i, wbrew twierdzeniom liberalnej szkoły, — uznaje formę prywatnego posiadania za przejściową do posiadania społecznego, znoszącego dzisiejsze formy spożywania in-

dywidualnego. Będzie to prostym następstwem ewolucji współczesnej i dalszym ogniwem rozwoju ekonomicznego. Marxizm przeto „przekreślać” nie może indywidualizmu wytwórczego z tej najprostszej racji, że zniesienie tego indywidualizmu dokonywa kapitał nowoczesny, który powstał i rozwija się na podstawach pracy społecznej, pracy zbiorowej.

P. Lambro, mówiąc o „wszelakim” indywidualizmie miał widocznie na myśli jedynie indywidualizm w sztuce.

W artykule „Marksiści i marksiątka” porusza słynny skandal Van Beers'a i na zasadzie wyciągów z „Neue Zeit” dowodzi ograniczoności marxistów, którzy przepowiadają uprzemysłowienie sztuki—ergo przekreślają indywidualizm.

Niestety, przykład Van Beers'a nie jest odosobniony. Dziś na zasadzie dowodów z przykrością stwierdzić należy, że do wielu dziedzin twórczości artystycznej wkrada się produkcja towarowa. Obniżanie wartości sztuki, zdaniem Gaulkego (nie marxisty) dokonywa kapitalizm. „Bezcelowa” sztuka straciła grunt, albowiem nie można jej w każdej chwili wymienić na inne wartości. Dawniej artysta był prorokiem i wodzem swego narodu, dziś zaś stał się rzemieślnikiem, służącym publiczności. I któż to jest ta publiczność, zapytuje Gaulke, nadająca smak artystyczny i przyczyniająca się na swój sposób do obniżania wartości sztuki? Przeważnie klasy posiadające, burżuazja, która za wszelką cenę pragnie uchodzić za lepszą, niż jest w rzeczywistości.

Dlatego też pragnie ona posiadać zwyczaj dawnej arystokracji i patrycjatu. Medici, Colonna, Strozzi, Dozia i inni panujący we Włoszech pochodzili również ze sfery mieszczańskiej, a jednak odgrywali rolę najdzielniejszych pionierów kultury estetycznej! Dziś zaś popieranie sztuki jest ściśle związane ze *spekulacją*. Zwyczaj plebeuszowski są trwalsze, niż pokost arystokratyczny. Nasza burżuazja nie może odgrywać roli arystokracji, gdyż brak jej wszystkiego prócz pieniędzy.

Druga warstwa—to właściwi handlarze. Sztuka, jako taka, zgoła ich nie obchodzi, zajmują się nią wyłącznie ze względów merkantylnych. Handlarze ci poczęści nadają smak kupującej publiczności i wyzyskują przez to powodzenie wielkich artystów. Dziś

modni są Menzel, Lieberman i ich świta, jutro impresjoniści francuscy staną się towarem sezonowym. Sztuka, oceniana z punktu widzenia handlowego, została stracona z *piedestalu*<sup>1)</sup>. Dzieło sztuki ocenia się dziś nie według jego istotnej wartości, lecz według zysku, jaki ono dać może. Ogromne szkody na polu sztuki wyrządziła t. zw. „technika reprodukcyjna”, prawdziwe dziecie przemysłu. Dawniej reprodukcja utrzymywała idee artysty i umożliwiała zdobywanie obszernej materjału dla studjów, dziś zaś reprodukcja „hamuje rozwój sztuki, staje się celem sama w sobie”. Muzyka automatyczna również spełnia rolę szkodliwą. Fonografy, orchestriony i inne automaty są wyrazem „postępu technicznego”, nigdy zaś „postępu artystycznego”, a łatwy dostęp i „masowe” dostarczanie sztuki najczęściej powoduje brak smaku”.

Tego nie pisze doktryner marxizmu,—pisze człowiek „wolny”, artysta, który głęboko odczuwa upadek sztuki w dobie panowania handlarzy i przeciwstawia współczesny rynek artystyczny światu estetycznemu epoki Odrodzenia.

P. Lambro, opowiadając historję Van Beers'a, nie zauważył, że fabryka „Van Beers'ów” jest przede wszystkim przedsiębiorstwem merkantylnym, że powstała ona mogła tylko w gospodarstwie wymiennym, w dobie panowania pieniądza, w której frymarczyć można utworami pięknymi i obracać kapitałem w interesie upostaciowanego natchnienia artystycznego.

Nie możemy odpowiadać za wnioski, wyciągane z powyższego faktu przez redakcję „Neue Zeit.” Przypuszczamy jednak, że mówiąc, iż „historja zmierza nieubłaganie” w kierunku uprzemysłowienia sztuki, redakcja ta w 1888 r. miała na myśli rozwój tylko w granicach ustroju teraźniejszego, albowiem nie jest tajemnicą, że nawet najbardziej suchy i pedantyczny zwolennik Marxa,—Kautsky—oddaje pierwszeństwo w życiu intelektualnym—anarchizmowi, będącemu, jak wiadomo, doktryną najkrańcowszego indywidualizmu.

P. Lambro, który nie waha się przypisać mi wielu rzeczy zdrożnych, łatwo, równie śmiało i bezpod-

<sup>1)</sup> Die Aesthetische Kultur des Kapitalismus. Von Johannes Gaulke. Freier literarischer Verlag. Berlin 1909, rozdział „Wartość sztuki w społeczeństwie kapitalistycznym” przekład mój w „Społecz.”

13)

W. MAKOWSKI.

## ZBRODNIĘ, KARY I SĄDY WYJĄTKOWE.

Jeżeli tam, gdzie chodzi o świadka, najważniejszym ulegającym badaniu elementem jego psychiki będzie wyobraźnia, zdolność postrzegania i potem odtwarzania postrzeżonego — w psychice sędziego, prócz szeregu innych, najważniejszym zapewne elementem będzie umiejętność wnioskowania, umiejętność niezmiernie trudna, bodaj czy nie najtrudniejsza ze wszystkich.

Dawniej, w dawnych pojęciach o sądzie i sprawiedliwości, człowiek starał się właśnie ten obowiązek wnioskowania o ile możności uprościć, zwalić z bark połączoną z nim pracę myślową. Osiągano to drogą czynienia doświadczeń w każdym poszczególnym wypadku. Ponieważ wnioskowanie jest rzeczą trudną, a zatem ustala się formułę takiego wnioskowania raz na zawsze, a w poszczególnym wypadku drogą doświadczenia formuły się sprawdza.

Takiem sprawdzeniem formuły jest słynny sąd Salomonowy. Matka kocha dziecko — 1, kochający nie

dopuści śmierci kochanego — 2. Uczynimy doświadczenie, któreby sprawdziło powyższe dwa dogmaty, za pomocą tego doświadczenia sprawdzamy, która z domniemyanych matek naprawdę kocha, a więc jest naprawdę matką.

Takie doświadczenie w tym wypadku jest sławione jako genialna inwencja, my byśmy go dziś nie czynili, ale później, taka inwencja ustępowała formule stałej: Bóg nie dopuści tryumfu złego i porażki sprawiedliwego. Nad obiektem przeto należy dokonać doświadczeń z interwencją boską. Do tej samej kategorii ułatwień wnioskowania należą wszelkie dowody formalne i wszelkie sposoby inkwizycyjne, gdzie drogą tortury starano się wydobyć od oskarżonego przyznanie się do winy, gdyż ono dawało dowód i uwalniało od omylnych wnioskowań.

Dziś wszakże stanęliśmy na tym poziomie poszanowania jednostki i wogóle poglądu na stosunek człowieka do człowieka, że dokonywanie jakichkolwiek doświadczeń, w rodzaju choćby podprowadzania zabójcy do trupa zabitego, uważamy za pastwienie się, a nawet sprawa przymierzania na oskarżonego szczegółów ubrania, mających stanowić dowód rzeczowy jest w bardzo wielu wypadkach i słusznie kwestjonowana i podlega poważnym zarzutom. Oskarżony jest nietykalny i nie tylko nie można go torturować, nie można wogóle do-

stawnie, posądzić mię może o to, że nie widzę w skapitalizowaniu sztuki przykrego „niedomagania i spaczenia”, w najlepszym zaś razie, wobec słów powyższych,— przypisać mi może nagłą zmianę poglądu po wysłuchaniu „ohydnych” zapatrywań ortodoksów na przyszłe dzieje kultury piękna. Zmusza mię, ze względów ostrożności, do powtórzenia rzeczy, dawniej już wypowiedzianych, i do bronienia się w ten sposób przed zarzutami ze strony człowieka, który wyobraźszy sobie, że wznosił się na piedestał autorytetu, tem samem osiągnął już przywilej wypowiedzania sądu w tonie prokuratorskim, w dodatku bez uzasadnienia i motywów. Spełniam więc przykrą konieczność:

Sztuka z wyżyn doskonałości i ideowości zepchnięta została na dno produkcji przemysłowej i adeptci piękna, jeśli nie przeszli na żołąd mecenasów, są proletariuszami, ściślej, jeśli chodzi o terminy ekonomiczne, chałupnikami, którzy siłą warunków społecznych zniewoleni zostali produkować artykuły sztuki przedewszystkiem na sprzedaż. Piękno stało się żywym towarem ducha, interes zrodził handlarzy tego towaru, podobnie jak żądza zysku zrodziła handlarzy żywego towaru ciała. Pierwsi obsługują potrzeby „estetyczne”, drudzy pożądania seksualne, lecz pierwsi i drudzy tworzą jedną kastę, profanującą i upodlającą piękno i ciało, czyniącą wywiskę nad sztuką i człowiekiem ku próżności i wygodzie władców kapitału.

Wskutek niskiego współcześnie poziomu kultury estetycznej, twórcy są materialnie wydziedziczeni, są murzynami swego „zawodu”, zaś w praktycznej opinii kapitalistycznego społeczeństwa co najwyżej traktowani są pobłażliwie, jako fantaści, pozbawieni zmysłu terażniejszości, nie pojmujący t. zw. szczęścia osobistego, które egoizm plutokracji upatruje w umiejętności robienia pieniędzy. Duch naszej epoki posiada wszystkie cechy tej warstwy społecznej, która w niej panuje i rządzi. Duch ery kapitalistycznej jest praktyczny, realistyczny, prozaiczny. Duch poezji, idealizmu, entuzjazmu został stratowany przez konie parowe. Trubadur wędrowny w atmosferze fabrycznej umiera, a poezja sztywnieje na zgiekłym rynku handlowym. Twórcy dostosować się muszą do obrotów koła głównego pod groźbą śmierci głodowej. Większość z nich przez to staje się apologetami kapitału, reklamuje jego wytwory; wielu z nich rehabilituje go pędzlem

i piórem, a dogadzając panującej górze społecznej,— osiągają wraz z powodzeniem moralnem—powodzenie pieniężne. Pod tym względem są oni współcześni i myślą i dążeniami. <sup>2)</sup>

Że fabryka w rodzaju Van Beers'a jest grobem dla indywidualizmu twórczego nie tylko Devittów i Semenowskich, i że istnieć musi większa liczba artystycznych przedsiębiorstw kapitalistycznych, świadczy ogłoszenie, widziane przez p. Ludwika Krzywickiego w jednym z czasopism amerykańskich:

„IDEI!

Poszukuje się idei do powieści, dramatu i artykułów!

Z propozycjami zwracać się należy do redakcji!” <sup>3)</sup>

Idee, dodaje szanowny badacz, t. j. pomysły utworów jako towar na sprzedaż — do fabryki, w której przedsiębiorca będzie zatrudniał najemników, posiadających świetny styl i umiejących dać pomysłowi formę pociągającą. Autorem będzie fabrykant, inżynierem—dostarczający idei, a pisarze—robotnikami...”

Kapitał, jako siła żelazna, ujarzmiająca pełny rozwój indywidualizmu twórczego, ujawnia się także w dziedzinie nauki.

Bancroft np., ażeby zgromadzić materiał do historii obszarów nad Pacyfikiem, zorganizował sztab przepisowaczy, zwiadow i kopistów. Agenci jego przebiegali Europę, robili poszukiwania w bibliotekach, streszczali lub przepisywali. Same wyciągi z archiwum w San Francisco kosztowały pryncypała 18000 dolarów. „Asystenci” układali rodzaj skrótu, który już szedł do rąk Bancrofta i służył mu za materiał przy pisaniu historii 39-tomowej.

Reclus pisał „Geografję powszechną” w taki sposób. Uczeni, mający imię w świecie naukowym, studjowali literaturę przedmiotu, robili wyciągi, oraz je systematyzowali. Geograf francuski niekiedy zwiadał osobiście opisywaną okolicę, uzupełniając suchy materiał żywym wrażeniem. Socjologja Herberta Spencera ukrywa pracę bezimiennych robotników, którzy wertowali książki źródłowe i zbierali potrzebne notaty.” <sup>4)</sup> Ci uczeni—robotnicy, asystenci badaczy, roz-

<sup>2)</sup> Akademia „nieśmiertelnych”, czy nieśmiertelni bez akademji. № 52 „Społeczeństwa”.

<sup>3)</sup> L. Krzywicki „W otchłani” str. 44.

<sup>4)</sup> Tamże str. 73.

konywać nad nim jakichkolwiek doświadczeń, choć może niektóre doświadczenia psychologiczne byłyby rzeczą ciekawą.

Prócz tych idei nietykalności przyszło także i przekonanie o tem, że wszystkie te doświadczeniowe formuły nic nie są warte i do żadnych pozytywnych rezultatów doprowadzić nie mogą, odrzucono zatem formuły, przez wszelkie z góry ustalone tematy sądownia, samodzielnie i najswobodniej wprowadzony wniosek, oto jest ideał, oto jest warunek sądowej prawdy, Bóg bowiem nie miesza się do spraw ludzkich, krzywoprzysięscy znajdują się wszędzie, a więc swobodna ocena dowodów, — a w szeregu dowodów nawet przyznanie się do winy zajmuje, i słusznie, wcale nie pierwszorzędne miejsce.

Pozostały wprawdzie i teraz przysięgi i wyszczególnienie osób, które nie mają prawa, lub mają prawo, nie przysięgać, ale zresztą obowiązek wnioskowania legł całym ciężarem na głowy sędziów. A obowiązek to ciężki. Pomijając te wszystkie uboczne czynniki, o których mówiliśmy wyżej, i wpływ ogólnego światopoglądu, i zdawanie sobie sprawy ze swojej roli społecznej i z zadań społecznych sądu i ogólny stopień uświadomienia indywidualnego i społecznego, wreszcie oddziaływanie chwili dziejowej, szeregu czynników uczuciowych i subiektywnych, pomijając nawet to

wszystko i biorąc sam czysty ekstrakt czynności odzukiwania prawdy sądowej, wnioskowania, staniemy znowu wobec zagadnienia psychologicznego ciekawego bardzo.

Jak są rozmaite typy wyobraźni, tak są rozmaite rodzaje zdolności wnioskotwórczych. Podział umysłów ludzkich na syntetyczne i analityczne, jest rzeczą popolitą, obydwie te typy umysłów mogą różnemi wprawdzie drogami dochodzić do tych samych wniosków, tylko może w umyśle syntetycznym zaginie świadomość dróg myślowych do wniosku prowadzących i stąd będzie mniej pewności siebie i mniej argumentów dyskusyjnych, ale ten podział dla naszego wypadku nie jest jeszcze najistotniejszym.

Ważniejszą dla nas jest zdolność umysłów ludzkich do szybszego lub powolniejszego wnioskowania. Tu znajdziemy zapewne szereg gradacji wszakże zasadnicze będą: umysły łatwo wnioskujące, (apodyktyczne), takie które się w tworzeniu wniosków kierują raczej wrażeniem niż konsekwentnie zbudowanym sądem, takie umysły postrzegają zwykle z całego materiału jaki im zostanie przedstawiony, jakiś jeden fakt, jedno lub parę zjawisk, a cała reszta jakby nie istniała, nie jest w stanie ani uzupełnić ani zachwiać przekonania. Wniosek tworzy się wówczas niezmiernie szybko wszakże bez jakiegokolwiek kontroli, umysł po stworzeniu te-

porządzających kapitałem, gromadzą materiał naukowy, czynią suche wyciągi i pozbawieni są, wskutek swej zależności materialnej, możliwości tworzenia, które wyraża się w ostatecznym opracowaniu dzieła, mającego postawić nowe tezy, metody naukowe, lub czyniącego przewroty w dziedzinie wiedzy nowoczesnej. Gospodarstwo kapitalistyczne, jak widzimy na podstawie przykładów powyższych, buduje jednak fabryki nawet na polu twórczości artystycznej i naukowej.\*) Powstaje więc nowe jarzmo, w które wprzegnąć się mają talenty, i już nie po to by pośrednio tylko być zależnymi od smaku estetycznego kupującej publiczności, lecz wprost od zwierzchników, szukających zyskowego zastosowania dla swoich kapitałów. Wytwórczość społeczna z materiału twórczości artystycznej! \*) Otóż, według krytyka wolnomyślnego — to marksizm przekreśla „wszelaki indywidualizm...”

Tu po raz czwarty stwierdzić musimy usiłowanie skarykaturowania przedmiotu. Nie mogąc sobie poradzić z marksizmem za pomocą metody naukowej, p. Niemojewski zaczerpnął z własnej wyobraźni kilka tematów do obrazków dogmatycznych marksizmu i obecnie zachwala je i ofiarowuje swoim czytelnikom. Nie rozporządzając żadnym materiałem faktycznym, który pozwoliłby mu zająć wobec rzekomo negatywnych postulatów teorii — wyższe stanowisko naukowe, p. Niemojewski jest zmuszony obracać się ciągle w płytkim źródle błędnej i bezpodstawnej krytyki. Dlatego też z szeregu jego artykułów wieje pustka, która jest tem bardziej męcząca, że świadczy wyraźnie, iż w dziedzinie marksizmu p. Niem. nie ma nic do powiedzenia.

Wysuwając tak ważki zarzut, jak ten, że marksizm przekreśla „wszelaki indywidualizm”, p. Niemo-

\*) Na naszym gruncie również istniała za życia Blocha fabryka naukowa. Pisarz ten dla swych prac ekonomicznych zorganizował sztab badaczy i sekretarzy.

5) Jasnym jest dla każdego przytomnego człowieka, że nie może tu być mowy o całych miastach fabrykacji artystycznej. Sam fakt istnienia kilku takich przedsiębiorstw dostatecznie świadczy o upadku sztuki w teraźniejszych warunkach społecznych. Również, samo się przez się rozumie, że wielcy twórcy, będący zawsze dobrymi duchami swojego narodu, woleliby ponieść śmierć głodową, niż pracować jako rzemieślnicy w warsztatach piękna. Lecz dość bolesnym jest już fakt, że giną tym sposobem młode talenty o nieskrystalizowanej jeszcze twórczości.

go wniosku jakby się zamyka, zasklepia i powstaje upór, którego przezwyciężyć nie sposób żadnym argumentem rozumowym. Czasami tylko zupełnie tak samo przypadkowo, jak powstał, wniosek ten ustępuje miejsca wbrew przeciwnemu pod wpływem często najmniej oczekiwanej okoliczności.

Jakiś zupełnie blahy fakt nabiera naraz niezwykłej dowodowej mocy i oto umysł, o którym mowa, wykonywa nową pracę wnioskowania, po poprzednim czasami pozostaje pamięć. Człowiek takim umysłem obdarzony będzie się często chełpił swoją bezstronnością, wskazywał na wagę i znaczenie argumentu, który go przekonał, będzie to umysł apodyktyczny.

Możemy rozumieć, jak trudno bywa w takich warunkach mówić o prawdzie sądowej.

Zupełnym przeciwstawieniem będzie umysł chwiejny, niepewny, nieumiejący się wcale zdobywać na wnioskowanie, człowiek może być obdarzony najlepszymi chęciami, ale wobec sprzeczności dowodów i argumentów nie potrafi wyrobić sobie sądu o nich, będzie widział zewsząd kuszące wnioski, a wybrać między nimi i twardo stać nie potrafi, taki da się zawsze powodować osobom nie argumentom, będzie wnioskował w sposób najbardziej przypadkowy, raz będzie niezwykle łagodnym, to znów bezmyślnie okrutnym, najniebezpieczniejszym wtedy, kiedy chcąc maskować

jewski winien był, jeśli poważnie traktował swój przedmiot, przytoczyć szereg niezbitych dowodów, a nie jeden artykuł z 1888 r., który w dodatku sfałszował, albowiem autorom jego przypisuje uciechę z powodu kapitalizowania sztuki, tymczasem oni stwierdzali tylko jeszcze jeden objaw niszczenia i wciągania w spekulację merkantylną rzeczy twórczych, czystych, owoców natchnienia i szlachetnych porywów.

Pan Lambro w artykule „Marksści i marksiatka” (w № 129 „Myśli Niepodległej”) nie posługiwał się (jak zresztą w całej swojej krytyce marksizmu) rzeczową argumentacją, która wzbudziłaby mogła zaufanie czytelnika inteligentnego i przekonać go o niesłuszności mojego wystąpienia.

Nie jest to odpowiedź punkt po punkcie na moje twierdzenia, lecz akt oskarżenia za zamach na autorytet, uczyniony przez człowieka, który niema za sobą „szeregu dzieł oryginalnych” i który jeszcze „nie dał się nikomu poznać jako wiedzowiez”. Wyjaśniłem zdaniem moim, możliwie rzeczowo, że marksizm nie przekreśla narodowości i państwa, jak to inkryminował p. Lambro, dowiodłem nadto, że marksści prowadzą *pozytywną* politykę narodowościową, własną politykę państwową i dążą do opanowania państwa współczesnego. Oparłem rozumowanie nie na dowodach spekulatywnych, lecz na czysto faktycznych i logicznych, pomnąc, że obowiązkiem moim jest możliwie najwyraźniej przedstawić myślność i bezpodstawność podobnych oskarżeń. W odpowiedzi swojej — p. Lambro pominął te zagadnienia i dowody, natomiast poruszył sprawę, której dotychczas nie rozwijałem w artykułach poprzednich<sup>6)</sup>. Podkreślałem niejednokrotnie, że idzie mi przede wszystkim o marksowską metodę badania naukowego, a nie o słowa nawet najbardziej uznanych wyznawców mistrza. — P. Lambro pominął i ten punkt mojego rozumowania. Miał dowodów źródłowych, mających zcementować i spoić jego luźne twierdzenia, — krytyk sypnął mi w oczy garścią wyszukanych epitetów, które w *najlepszym razie mogłyby* godzić w moją osobę, nigdy zaś w moje dowodzenia, uwagi i wnioski. Ponieważ występuję tu w obronie przedmiotu naukowego i kierunku ideowego, jestem obowiązany od-

6) № № 9 i 11 „Społeczeństwa”.

własną chwiejność będzie się upierał przy pierwszym lepszym podsunętym wniosku bez możliwości nawet wyargumentowania; podatny jest wpływowi ubocznemu o charakterze uczuciowym. Skład sądu z jednym takim umysłem podobny jest do łodzi napelnionej wodą, która co chwila grozi zatonięciem, wraz z nią i prawda sądowa.

Rzadką niezmiernie rzeczą, rzadko spotykaną w życiu w ogóle, w sądzie w szczególności, tak dalece, że z trudem tylko mogę ten typ raczej improwizować, niż budować z obserwacji, jest typ wnioskowania wszechstronnie umotywowanego, opartego na ocenie dowodów, świadomego. Tego nie będę określał, jest to nie tyle typ, co dopiero ideal. Rzeczywistość zaś daje mniejsze lub większe odchylenie od tego idealu w stronę jednego z dwojga wyżej omówionych typów odchylenia, mogą być zarówno małe, jak i bardzo wielkie, tak, że zapewne i chwiejność i apodyktyczność nie należą do rzadkości.

(d. c. n.).

powiadać jedynie na zarzuty, dotyczące się tego przedmiotu i kierunku, a więc tem samem przysługuje mi prawo pozostawienia „zjadłej publicystycznej kłótni“ mojemu przeciwnikowi.

W zakres moich zadań na tem miejscu wchodzi wypowiadanie *sądu o metodach krytycznych* „Myśli Niepodległej“ — zaś sąd przedmiotowy o metodach polemicznych p. Niemojewskiego — mogę spokojnie powierzyć czytelnikom bezstronnym i osobiście w dyskusję nie wciągniętych. Wszelako moim obowiązkiem, jako człowieka, jest zwrócić uwagę moich przyjaciół politycznych i kolegów po piórze w „Wiedzy“ i „Społeczeństwie.“ na źródło niniejszej dyskusji, którem posłużył się p. Niem. i do którego w sposób niesłychanie cyniczny się przyznał.

Prace w „Społeczeństwie“ nie wystarczyły mi do wszczęcia dysputy, która pozwoliłaby mi zdemaskować niepowołanych „opiekunów proletariatu“. Uciekł się więc jakoby do „eksperymentu publicystycznego“, polegającego na tem, że z rozmysłem i z góry powziętym planem napisał dwa artykuły „Burżuazja i proletariatu“ i „Zjadacz inteligencji“, utrzymane w tonie wyzywającym, po to jedynie, by po otrzymaniu repliki — pokazać robotnikom, — „ludziom zancym, ale często naiwnym ich własnych ideologów.“ „Uczyniwszy to, czekałem cierpliwie.“<sup>1)</sup> Twierdzenie to uważam za śmieszny wybieg, wymyślony przez p. Niem. po fakcie dla wykręcenia się z niemiłej sytuacji. Przypomina mi to historję jednego chłopczyka z ostatnich ławek szkolnych: ile razy nie umiał czegoś i dał odpowiedź niemądrą, mówił: ja tak namyślnie, chciałem się przekonać, czy pan profesor się pozna i co na to powie. Skutek zresztą był taki, że najczęściej dostawał — jedynkę.

Alę przypuścmy, że tak było istotnie, jak obecnie chce w nas mówić p. Niemojewski, że naprawdę chciał on wywołać tylko pewne wypowiedzenia się z naszej strony. W takim razie byłaby to rzeczywiście zupełnie nowa „metoda eksperymentalna“ w publicystyce, ale taka, która w języku polskim ma swoje specjalne określenie, która uwłacza tylko czci piszących i samej redakcji „Myśli Niepodległej“!<sup>2)</sup>

Henryk Lukrec.

## NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

### Autonomja Alzacji i Lotaryngji.

Rany zadane Francji w nieszczęsnej wojnie roku 71 wytworzyły silny antagonizm między dwoma sąsiadującymi narodami. Pogłębiany starannie przez szowinistów zarówno francuskich i niemieckich zdołał się on utrzymać w wysokim napięciu, aż do dni dzisiejszych. Przyłączenie zaś Alzacji i Lotaryngji, dało tej nienawiści realną podstawę, na którą nacjonalisci obu krajów niejednokrotnie się powoływali. Rodacy z poza drugiej strony Vogezów, których przed wojną dość lekceważono, stali się nagle najbliższymi sercu francuza męczennikami za ideę narodową.

<sup>1)</sup> № 129 „Myśl Niepodległej“ str. 388 wiersz od góry 8.

<sup>2)</sup> Tę samą metodę — ignorowania faktów i rzeczowych argumentów — zastosował p. Niemojewski i do wyjaśnienia jakie dało „Społeczeństwo“ na zarzut, jakoby przerwało druk artykułu p. Auerbacha, pod naciskiem czytelników żydów. Redakcja przytoczyła fakty, stwierdzające, jaki był rzeczywisty i wyłączny powód przerwania artykułu. P. Niemojewski udaje głuchego i w dalszym ciągu swoje powtarza, ani słówkiem nie zaprzeczając i nie prostując tego, co powiedziano w „Społeczeństwie“.

(Red.)

Nie włączałem p. Niemojewskiego do obozu „chłopskiej krzywdy i narodowej hańby“. Mówiłem wyraźnie: że sięga po wawrzynny z obozu wolnomyślnego Nr. 9 „Społecz.“ str. 100 wiersz od góry 27.

Niemiecki rząd nie czynił nic by ranę tę zagoić. Kraj zabrany uważał za łup wojenny i postępował jak z łupem. Jako kraje cesarstwa (Reichsland), Alzacja i Lotaryngja rządzone były przez kreatury naznaczone z ramienia rządu.

Nastąpiło stosowanie metod „asymilacyjnych“ na szeroką skalę. Gnębiono język francuski, rugowano go ze szkół, administracji, biur, prześladowano surowo wszelkie przejawy francuzczyzny i ciężenia ku Francji. Taki stan rzeczy trwał do r. 1874, kiedy zrezygnowano z rządów administracji i dopuszczono Alzację i Lotaryngję do korzystania z przedstawicielstwa w radzie związkowej (Bundesrath) i parlamencie.

Posłowie wybrani w r. 1874 złożyli protest w parlamencie przeciw przyłączeniu Alzacji i Lotaryngji do Niemiec, żądali by ludności pozwolono decydować o swoim losie i usunęli się. Wkrótce jednak utworzyło się stronnictwo zwolenników autonomji, uznające przyłączenie kraju za fakt dokonany. Rząd próbował oprzeć się na tem stronnictwie i wytworzył wydział krajowy (Laudesausschoss), posiadający głos doradczy w sprawach budżetowych i prawodawczych, a następnie zarząd krajów zabranych przeniesiono z Berlina do Strassburga i utworzono posadę namiestnika (Statthalter), sekretarza stanu i radę stanu.

Zdawało się, że są dane do utworzenia surrogatu normalnego życia politycznego. Samowola rządu była jednak zbyt wielką i zaogniała poczucie krzywdy miejscowej ludności. I kiedy pierwszy namiestnik Alzacji i Lotaryngji Manteuffel postawił, w czasie wyborów z r. 1881 brutalnie kwestję „otwartego i lojalnego uznania przyłączenia Alzacji i Lotaryngji do Niemiec“, okazało się, że bunt przeciw zwierzchności niemieckiej głęboko się zakorzenił wśród ludności, — stronnicy protestu otrzymali większość. Instytucje wprowadzone przez rząd pozostały, ale taktyka rządu powróciła do tradycji z przed roku 74.

I odtąd nieprzerwanym ciągiem trwało borykanie się rządu z ludnością. Historia tych ciemień i prześladowań przypomina żywo to co się działo i dzieje na drugim krańcu cesarstwa, z tą różnicą, że rząd niemiecki musiał się jednak liczyć w pewnym stopniu z opinią swego sąsiada.

Lata miały, dzieło wynarodowienia nie dało się skutecznie i dziś, jak wówczas po strasznej klęsce, ludność Alzacji i Lotaryngji uważa się za związaną językiem, tradycjami kultury i walk o tę kulturę z Francją. Niemniej wytworzyło się pewne przystosowanie. Antagonizmy społeczne rozwijały się zarówno w kraju zdobywców, jak w krajach zabranych, i przedstawicielstwo Alzacji i Lotaryngji, jednomyślne w swym proteście przeciw gwałtowi jaki zadany został narodowości prowincji, rozbiło się poczuwszy ciężenie w kierunku przedstawicieli różnych interesów klasowych.

Kanclerz Rzeszy, mówiąc w parlamencie o projekcie autonomji Alzacji i Lotaryngji, podkreślił, że uważa ją za środek zmierzający do „złania Alzacji i Lotaryngji z Cesarstwem i wzmocnienia idei monarchicznej“. Nie wiadomo jeszcze dokładnie jakie formy przybierze obiecana autonomja, zakomunikowaną zostanie ona bowiem przedewszystkiem Radzie Związkowej.

Utworzenie dożywotniego namiestnictwa ma jej gwarantować samodzielność w stosunku do władz centralnych, jak również do tego celu zmierza nadanie jej przedstawicielstwa w Radzie Związkowej.

Wprowadzenie zaś wyborów tajnych i bezpośrednich do Delegacji krajowej, samodzielność wewnętrzna, która zależną będzie oczywiście od zakresu pełnomocnictw tej Delegacji.

Myśl jednak, która kierowała rządem przy opracowaniu tego projektu, wskazuje dosadnie, że wydarzył on został mu przez życie i że istotne znaczenie

tego kroku nie jest ocenionem przezeń. Dla p. Betman-Hollwega, jest to tylko zmiana taktyki, zmiana metody działania.

Ten brak krytycyzmu, zarówno w stosunku do epoki, jak i do własnej roli, to jeszcze jeden dowód bankructwa polityki pruskiej. Tak samo jak w sprawie reformy wyborczej i tutaj ujawniają się zadania polityczne i potrzeba zaspokojenia zagadnień społecznego życia, którym warstwy rządzące sprostać nie są w stanie.

#### Sprawa likwidacji zakonów we Francji.

Sprawa kolosalnych nadużyć popełnionych przy likwidowaniu posiadłości zakonów, rozwiązanych po uchwaleniu rozdzielenia Kościoła od Państwa, wywołała prawdziwą burzę zarówno w prasie, jak w parlamencie. Okazało się, że ten tak trudny obowiązek powierzano ludziom mało znanym, że ogromną rolę odgrywały przytem protekcję wśród najbardziej wpływowych osób, że właściwie nie było żadnej kontroli nad postępowaniem spraw likwidacyjnych, — słowem, panował w tych sprawach chaos, lekkomyślna obojętność i nadużycia.

Sprawa wyszła na jaw z powodu zdemaskowania Diez'a jednego z trzech likwidatorów, wyznaczonych do zajęcia się sprawami zakonów. Stało się to jednak głównie dzięki niepospolitej lekkomyślności sprawcy tych nadużyć. P. Diez, który karierę swą rozpoczął, jako urzędnik w magazynie Bon Marché, dostawszy się w 1878 r. do biura p. Imbert'a, wówczas likwidatora przy Trybunale Sekwany, szybko posuwał się naprzód w swej karierze. W każdym jednak razie wyznaczenie go na tak odpowiedzialną placówkę nie było dostatecznie usprawiedliwionem.

Już w grudniu 1907 roku podniesiono w Senacie sprawę ewentualnych nadużyć przy likwidowaniu zakonów i została wyznaczona komisja, która miała tę sprawę zbadać. Materiały dostarczone obecnie przez tę komisję wykazują, że nadużycia były widoczne na pierwszy rzut oka, że p. Diez nie trudził się nawet by nadać im przyzwoitą formę w swej rachunkowości. Materiały te zarazem wykazują rozkład istniejący w instytucjach sądowych i administracyjnych, jak również niewybaczalne niedołęstwo rządu. Podają one również w wątpliwość i uczciwość innych wykonawców prawa o rozdzieleniu kościoła od państwa, którem się radykali francuscy tak szczyli.

Z prawdziwą radością przyjęli te rewelacje klerykali i monarchiści. Niestety przypomniano im wszystkie skandale finansowe, jakie miały miejsce za ich panowania. Przyczyna demoralizacji, jaką ujawniła sprawa Diez'a nie leży w tem, że Francja zdołała oswobodzić się od jarzma ciemnoty i klerikalizmu, że potrafiła ona rozwinąć swobody polityczne.

Gdzie rzucić okiem, ujrzeć można, jak państwo kapitalistyczne rozkłada się, jak do funkcji jego wdziera się demoralizacja i podkopuje podstawy współczesnej gospodarki.

Nadużycia w administracji państwowej, skandale finansowe, pożyczki rosyjskie, zatwierdzanie monopoli prywatnych, jak to zdarzyło się niedawno w Głównym Towarzystwie Omnibusów w Paryżu, tak do gruntu brudna sprawa, jak sprawa Ounze'y, — wszystko to razem wskazuje, że przyczyny złego tkwią głęboko w dzisiejszych stosunkach społecznych i że ozdrowienie tych stosunków nie da się osiągnąć półśrodkami.

I pomimo, że ministerjum otrzymało formalne zwycięstwo w Izbie, nawet prasa burżuazyjna uznać musiała, że zło pozostało i nie jest naprawionem.

Gangrena przenika do szpiku i kości mieszczaństwa, póki ono będzie u władzy póty bogactwo naro-

du, jego kultura i energja niszczyć będą i trwonić się, by temu zapobiedz wysunięte być muszą nowe siły i nowe formy.

Właski.

## E C H A.

Nadesłano nam wyjaśnienie w sprawie sądu partyjnego nad K. Zalewskim. Według wyjaśnienia tego K. Zalewski nie był sądzony za przekonania, jak to wynikało z listu otwartego (pomieszczonego w № 2 „Solidarności Robotniczej”) lecz za wykroczenia przeciw karność organizacyjnej, które „nic nie mają wspólnego z przekonaniem K. Zalewskiego”. Wykroczenia te przez sąd sformułowane zostały w sposób następujący:

1) wydanie i rozpowszechnianie „Listu otwartego” do członków partji.

2) za publiczne (w Liście otwartym), a według wyników dochodzenia sądowego — bezpodstawne oskarżenie redakcji o kłamstwa — a więc za oszczerstwo.

3) za obelgi, rzucone na całą partję w publicznem wystąpieniu i za usiłowanie „wytworzenia jak najgorszego, a fałszywego o partji wyobrażenia. — W komunikacie zaznaczone jest, że sąd zajmował się artykułem K. Zalewskiego w „Profesjonal. Wiestn.” wyłącznie w tym celu, aby ustalić, czy Zalewski miał powody do zarzucania „bezczelnego kłamstwa” redakcji „Cz. Szt.”.

## Z POWODU „VOTUM SEPARATUM” WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO.

Jedną z najsmutniejszych rzeczy bywa dla piszącego niezrozumienie; smutek ten zwiększa się wtedy, gdy się jest nierozumianym przez ludzi, na zdaniu których piszącemu zależy i ze zdaniem których się liczy. O ile zaś on jest początkującym przyłącza się do smutku tego myśl, że może przyczyną tego niezrozumienia jest własna jego wina, niejasność stylu, nieumiejętność wyrażenia myśli swoich i t. p.

Te i inne smutne refleksje opanowały mię, kiedy przeczytałem „Votum Separatum” z powodu sądu mego o „Róży” J. Katerli, pomieszczone w „Wolnem Słowie” i podpisane przez p. Wacława Nałkowskiego. Powszechnie znany i ceniony ten pisarz stawia mi z powodu mego artykułu krytycznego o „Róży” J. Katerli szereg poważnych zarzutów. Poważam się zabrać głos w tej kwestji, gdyż przesłanki użyte przez Szanownego oponenta opierają się całkowicie na nieporozumieniu i wskutek tego nie odpowiadają rzeczywistości, ponieważ bardzo cenię zdanie p. Wacława Nałkowskiego i ponieważ mogę przypuszczać, że skoro on krytykę moją w ten sposób zrozumiał, jest bardzo możliwe, że i więcej czytelników tak ją zrozumieć mogło — uważam za obowiązek mój krytyka i pisarza sprostować te podstawy, które, oparte jedynie na przykrem dla mnie nieporozumieniu, umożliwiły Sz. krytykowi postawienie mi całego szeregu zarzutów.

P. Nałkowski twierdzi że „podstawą do wydania tak ujemnego sądu” były dla mnie słowa Szyllera: „co ma żyć w pieśni musi zginąć w życiu” oraz pogląd Matuszewskiego „że forma jaką walka rewolucyjna u nas przyjęła jest bardzo niepiękna”.

„Przeciw tym podstawom dla oceny utworów sztuki, oraz przeciwko wysnutej z nich potępiającej

utwór Katerli konkluzji" — musi Sz. krytyk zaprotestować.

Wprost powiem: zgadzam się w zupełności z Sz. krytykiem, że dwa te punkty nie mogą być podstawą dla oceny dzieła sztuki. *Nie były one też bynajmniej podstawą dla mojej krytyki.* Tu jest nieporozumienie pierwsze, które postaram się wyjaśnić.

Przytaczając cytate Szyllera, miałem jedynie zamiar wykazać, że pisanie o rzeczy, od której życie nie odeszło jeszcze na taką przestrzeń, skąd jednym retrospektywnym rzutem oka objąwszy można było całe ubiegłe chwile zdarzenie — jest rzeczą bardzo trudną — *nie niemożliwą.* Jest to zupełnie zrozumiałe. Bo jeżeli dana rzecz *nie umarła* w rzeczywistości, nie może ona *ożyć* w pieśni i martwą bywa często ta pieśń. Przytem pisarzowi, który chwilę jeszcze nie przeszła w pieśni chce *ożywić* brak tej retrospektywności, która pozwala rzeczom istotnym głównie zająć miejsce a wygładza i niweczy rzeczy mniej podstawne. Chwila przeszła błękitnie, kiedy się od niej odchodzi i w błękitnawem tem świetle jaśniej i wyraźniej występują kontury rzeczywiste. Prócz tego, żeby dokładnie zrozumieć znaczenie danej chwili, trzeba jej miejsce w całym przyczynowym odnaleźć łańcuchu, co bardzo jest trudnem w czasie trwania tej chwili.

Trzeba ogromnej artystycznej intuicji, żeby można było abstrahować od chłodnej analizy, oczyszczonej przez czas z przypadkowych naleciałości; wtedy wewnętrzne, subiektywne przeżycie autora nabiera społecznej wartości, staje się obiektywnem. Tej intuicji, tego subiektywizowania się wewnętrznego przeżycia spodziewałem się właśnie „z nadzieją tajemną” od autora „Róży” (jak to wyraźnie w artykule moim zaznaczam) i co do tej intuicji się zawiodłem.

Rozumiejąc całą trudność tego rodzaju twórczości, bynajmniej nie uważałem jej za niemożliwą wogóle, a dla autora „Róży” — w szczególności. I nie to służyło za podstawę mej krytyki.

Twierdzenie p. Matuszewskiego również nie było krytyki mej podstawą. Nie mogło ono być, chociażby dla tego, że jak wyraźnie w artykule moim zaznaczam z poglądem p. Matuszewskiego się nie zgadzam. Nie zgadzam się dlatego, że p. Matuszewski nie rozróżnia prowadzenia walki w życiu i prowadzenia jej w artystycznej twórczości. Mówię tam wyraźnie: „każdemu kto istotę walki rewolucyjnej rozumie jasnym jest, że rodzaj walki jaki proletarijat prowadzi wymaga takich właśnie form walki. Jasnym jest, że forma walki często rzeczywiście niepiękna jest w polityce złem *nieuniknionem.* Podstawą dla krytyki mojej było całkiem coś innego. Były mianowicie te słowa, w których mówię, że „zadaniem literatury w szerszym tego słowa znaczeniu nie jest fotografowanie życia i kopjowanie go z kinematograficzną niemal dokładnością<sup>\*)</sup>. Twórczość literacka jest *par excellence* — twórczością. Na życie patrzy ona jedynie jak na gotowy materiał, który bierze i przetwarza go w sobie. W taki sposób tworzy się synteza życia. Kiedy się pisze o rewolucji należy wchłonąć ją w siebie i wyrzucić w świat w formie przetworzonej, zgodnej ideowo prawdą”.

Z takiego rozumienia istoty artystycznej twórczości jasno wynikają moje na nią poglądy. I dla tego dziwnem mi się wydaje, kiedy p. Nałkowski przekonywuje mnie, że „podstęp nie jest wyłączną cechą walk dzisiejszych rewolucyjnych”, przytacza na potwierdzenie swego twierdzenia przykłady historyczne i ludowe piosenki. Ależ tak — oczywiście — przecież ja wy-

rażnie twierdziłem, że w *życiu* „rodzaj walki rewolucyjnej wymaga takich właśnie form walki”, że jest to może zło, ale *konieczne.* Ale to w *życiu*, a nie w literaturze, która powinna być nie fotografią życia, ale przedstawieniem tego życia „w formie przetworzonej, zgodnej ideowo z prawdą”. A jeżeli p. Nałkowski, mieszając ciągle życie i twórczość literacką, twierdzi, że na kartach „estetycznej” trylogji Sienkiewiczowskiej nie różni się od podstępów wojennych, to takie oświecenie i przedstawienie dawnych czasów jest właśnie jedną z tych przyczyn, dla których Sz. oponent określenie „estetycznej” wziął w cudzysłów (i zupełnie słusznie) — to jest właśnie jedną z wielu innych przyczyn, dla których trylogja Sienkiewiczowska wcale estetyczną nie jest.

Myli się również Sz. krytyk twierdząc, że zarzuciłem Katerli, że „nadał rewolucyjnej treści współczesną „nieestetyczną“ formę” — bo ja zarzuciłem Katerli to tylko, że nadał rewolucyjnej treści formę wziętą z życia „ale doprowadzoną do karykatury nigdzie w życiu niewidzianej, zamiast przetworzyć się w swej pracowni tak, żeby stworzyła jedną całość z ideą, żeby zniknęło nawet to zło — w *życiu konieczne* — postarał się formę wyzuta z treści usprawiedliwić”.

A „karykaturą życia” jest sprowadzanie kwestji zwycięstwa jednych mas walczących nad drugimi do kwestji wynalezienia takiej lub innej genialnej maszyny przez takiego lub innego genialnego wynalazcę. Jest to nierozumienie różnicy pomiędzy wystąpieniem mas — a niezadowolaniem jednostek. Do kwestji woli tych jednostek sprowadza autor „Róży” całe ogromne zagadnienie rewolucji. Jest to dalszy ciąg tego samego stanowiska, któreśmy widzieli w „Bandosie” Zeromskiego. Katerla w „Róży” jest bezpośrednim spadkobiercą Zeromskiego z „Bandosa”. I tu i tam zasada: „*dla ludzi — bez ludzi*” wysuwa się na plan pierwszy. To nie jest synteza rewolucji. Bo rewolucja mówi: *dla ludu — przez lud.* Bo my wiemy, że „wyzwolenie robotników powinno być dziełem samych robotników”.

Dla tego właśnie idea przewodnia „Róży” nie może być moją ideą, a rozumienie przez autora „Róży” rewolucji mojem rozumieniem. I nie wiem do prawdy czemu p. Nałkowski krzywdę mi wyrządza twierdzeniem, że „piękniejszym wydaje mi się bezwątpienia gromadne konno-ludzkie bohaterstwo Samosierry na usługach despoty, niż np. szary obrazek uwolnienia więźniów przez towarzyszy partyjnych, przebranych w zwyczajne policyjne mundury” — kiedy pisząc to miał przed oczyma moje: „z podziwem i czcią człowiek zawsze patrzeć będzie na Leonidasa w Termopilach, na Rolanda w Ronsanwaldskiej dolinie, Wilhelma Tella w górach Szwajcarii i na *cały ten szereg bohaterów najwielkich — bezimiennych, na tych świętych bojowników Jutra*”.<sup>\*)</sup>

Ale właśnie dla tego głęboką słuszność ma Sz. Krytyk, gdy twierdzi, że większą mi się wydaje „odwaga gromadna” niż „odwaga jednostkowa”. Tak jest (zamieniłbym może tylko słowo „odwaga” na — czyn). Dzieje to się dlatego, że jasnym jest dla mnie, iż wystąpienia gromadne mają bez porównania większą wartość społeczną, (nie chodzi mi w tej chwili bynajmniej o praktyczną stronę) niż jakkolwiek, nawet najbardziej bohaterski czyn jednostki, Stoję ściśle na gruncie prawa. (rzecz prosta — że nie mówię tu o kodeksach prawnych, będących wyrazem takiej lub innej zazwyczaj w warunkach dzisiejszych, głęboko niesprawiedliwej kultury społeczno-polityczno-ekonomicznej; chodzi mi o prawo głębsze — wieczne prawo człowieka stanowienia o samym sobie, które sformułować

\*) Patrz: Gustaw Been. O „Róży” J. Katerli w 2-gim numerze „Społeczeństwa” tego roku i Wacława Nałkowskiego „Votum Separatum” z powodu sądu o „Róży” „Wolne Słowo” № 72-73.

\*) „Twórczość zaczyna się tam, gdzie się naśladownictwo kończy” powiada Lorentowicz w jednej ze swoich krytyk. I powiada słusznie.

\*) Czy to „nie wyraźne”? Bo ja — nauczony smutnem doświadczeniem — miałem raczej obawę — że to... zbyt wyraźne.

można bodaj w imperatywie kategoriowym Kanta — z bezwzględnej pojętych szczerością. I twierdzą, że o ile wystąpienia jednostek stają się często bezprawne, o tyle wystąpienia mas całych np. są zawsze dokonywane w imię prawa, na gruncie jeżeli nie istniejących to mających się narodzić ugrupowań prawnospołecznych.

Charakterystyczną cechą rewolucji są właśnie wystąpienia zbiorowe. Nie rozumie ten rewolucji, kto sprowadza ją do dobrej woli i zdolności jednostki.

I nie można powiedzieć nawet, że Czarowic-Dan ma być symbolem ludu, bo lud ten wypowiedział się już w „Róży” wyraźnie ustami Anzelma.

Zresztą: „dla ludu — bez ludu”.

O — nie!

„Dwa są bowiem rodzaje piękna” mówi p. Nałkowski: „Jedno oparte na instynkcie; to właśnie piękno umarłej rzeczywistości.... drugie, oparte na odczuciu i zrozumieniu współczesnej potęgi człowieka, który rzuca wielkie złomy pod budowę gmachu przyszłości”.

Myślę — że tak nie jest. Myślę, że Piękno jest jedno. I myślę, że *poczucie piękna* zawsze wypływa z instynktu. A „*odczucie i zrozumienie współczesnej potęgi człowieka*” też w instynkcie ma swoje źródło.

Chwila przeżywana jest też chwilą przeżyta, a chwila którą przeżywać będziemy dedukuje się wprost z chwil już przeżytych, jest ich dalszym ciągiem, rezultatem. Myślę, że niemożna mówiąc o Pięknie rozgraniczać życia na przeszłości, teraźniejszość i przyszłość. Tak jak człowiek jest jedyny, tak jedynym jest życie. I życiem moim jest nietylko to, co przeżywam, nietylko to, co przeżyłem — życie moje to rezultat ogólnoludzkiej twórczości, której chwila dzisiejsza jest rezultatem. W tym znaczeniu mówi Le Dantec, że my wciąż dziedziczymy po sobie.

Trzeba umieć wyczuć tę historyczną łączność człowieka z całą przeszłością, wtedy nie będzie można dzielić Piękna na Piękno przeszłe, umarłe i przeszłe, mające się narodzić, i dedukować je z dwóch różnych źródeł. Są to rzeczy tak nierozdzielne, jak nierozdzielna jest przyczyna i skutek. Tylko, ponieważ waż wielką jest dziedzina piękna, jak wielkiem jest życie i twórczość ludzka, więc jest w niej miejsce na zapatrzenie w przeszłe i w przyszłe chwile. Myślę jednak, że nie tem się określa stanowisko człowieka, w którą stronę życia zwrócone są jego oczy — tylko tem jaki mają one wyraz.

I zdaje mi się — że to właśnie rozstrzyga.

Bo często bywa tak, że zapatrzenie w przeszłość nie daje „miłego uczucia ciepłej kąpieli, która koi bóle, uspakaja *ostabione nerwy*” — choćby dlatego, że *nessun maggior dolore, che ricordarsi del tempo felice — nella miseria.*”

Powiedziałem: nieprawdą jest że „taka już polska dola, że szpieg musi stać na najwyższym stopniu polskiego intelektu.” I nie o arytmetyczną formułę chodziło mi tu, jak przypuszcza Sz. krytyk. W zupełności zgadzam się z tem, że istnieje głęboka przepaść między ewolucją biologiczną i społeczną u nas. Twierdzą jednak stanowczo, że to nie mogło upoważnić autora „Róży” do wypowiedzenia takiego zdania. Bo nawet najczarniejsze kolory, powodowane przez rozpacz najgłębszą, nie mogą wytknąć narodowi polskiemu drogi, którą on nigdy nie kroczył, która jest żywiołowo obcą jego psychice: drogi szpiegostwa, prowokatorstwa i zdrady. I dlatego — choćbyśmy jak chce tego p. Nałkowski, przyjęli maksymalną cyfrę ciśnienia, to jeszcze nie otrzymamy... szpiega.

Potwierdzenie wyżej wypowiedzianej tezy znajduję chociażby u samego p. Nałkowskiego. Pan Nałkowski zarzuca mi, że mówię: „to nieprawda” — i do-

daje, że jednak w tę „nieprawdę” wierzyło prawie całe społeczeństwo polskie z wyjątkiem małej garstki ludzi, do której „i to charakterystyczne” dodaje p. Nałkowski — „należał właśnie autor „Róży.”

Słusznie — to bardzo charakterystyczne, że kiedy zdarzył się jeden wypadek, gdzie możnaby było dać przykład twierdzeniu Katerli, tem łatwiej, że właśnie całe społeczeństwo było tego zdania — właśnie Katerla był jednym z tych, którzy zdania tego nie podzielał.

Czyż to nie dowodzi tylko tego, że autor *w rzeczywistości polskiej* niema takich przykładów?

I czyż Sz. krytyk, przytaczając przykłady Słowackiego, Krasińskiego i Kaczkowskiego nie widzi różnicy między „mniemanami szpiegami” a... Anzelmem?

I czyż to, że jak twierdzi p. Nałkowski „znalazłoby się w społeczeństwie naszym wielu ludzi, którzyby nielicznych przodowników polskiej myśli zabić chcieli twierdzeniem, że są oni kolegami Anzelma z „Róży” — czyż to ma znaczyć, że oni... są kolegami Anzelma z „Róży”?

Katerla powiedział: „są.” A ja mówię „nieprawda”, niepomyślnie na różnicę głosów naszych, wierny (bo muszę) głębokiemu przekonaniu i *wierze* w ducha polskiego, której u autora „Róży” niema.

A właśnie dlatego, że wiary tej niema, że z każdej kartki tchnie rozpacz zachłanna i rezygnacja śmiertelna, że aż do mordu uciec się trzeba, tak jest straszliwie źle i bez wyjścia — właśnie przez to „Róża” Katerli *nie jest* jak chce tego Sz. krytyk „obok takich utworów jak „Płomienie” Brzozowskiego najbardziej wysuniętą placówką myśli społecznej polskiej na polu literatury”, stoi ona po drugiej stronie „Płomieni” Brzozowskiego, z których poprzez głęboko odczuta, straszliwa, wieczną krzywdę ludzką jak z ożywczego źródła tryska głęboka wiara w moralne i duchowe siły narodu polskiego.

I dlatego w żaden sposób zgodzić się nie mogę z p. Belmontem, gdy mię zapewnia, że „Róża” stanąć może ni mniej ni więcej tylko obok 3-ej części „Dziadów.”

Na tem kończę. Lecz na zakończenie nie mogę się powstrzymać od podziękii p. Nałkowskiemu za to, że krytykę swą przeniósł wprost na stanowisko zasadnicze. W dzisiejszych smutnych dla piśmiennictwa polskiego czasach, z uznaniem witać należy każdą próbę tego rodzaju bezwzględnie uczciwej i szczerzej krytyki, nawet wtedy, gdy czyni to człowiek, który całą działalnością swoją przyzwyczaił nas jedynie do tego rodzaju wystąpień.

P. S. Pan Belmont uderzył we mnie zarzutem, że mam zamiar „udzielać autorowi „Róży” korepetycji patriotyzmu”. Nie wiem doprawdy skąd wziął on materjał do sądu tego rodzaju, bo przecież w krytyce mojej niema ani śladu podobnego zamiaru,

Gustaw Been.

## Z CYKLU „ARCANA.” 1)

MALA DALILA.

... Śniadania w okrętowej jadalni nikt prawie nie tknął... Wszyscyśmy śpieszyli się, jakby się paliło. aby tylko jaknajrędzej móż wyjść na pokład... Wszakże byliśmy już w zatoce neapolitańskiej, dopływaliśmy do Neapolu!..

Kiedy, skłoniwszy się niedbale siedzącemu przy stole, kosmopolitycznemu towarzystwu (pośród którego wyróżniała się niesłychanym wdziękiem i urodą

1) Z IV serji poezji



mała, śniada, o włosach czarnych, jak piekło, i o takichże, dużych oczach, powleczonej mgłą jakiejś rzewności, włoska dziewczynka w czerwonej sukience i czerwonej wstążce we włosach...), wybiegłem na pokład, z gładkiego, atlasowego lazuru morza wylaniał się, niby sen, spiętrzony amfiteatralnie na zielonych wzgórzach, uśmiechający się białymi willami, zadumany poczerniałemi, starymi wieżami świątyni, potężnymi murami twierdzy *San Elmo* na samym szczycie i posępną, rozbojniczą skałą *Castello dell'Ovo*, wrzynającą się kontrastowo w niebiański lazur zatoki, rozkoszny Neapol, miasto—narcyz, zakochane w sobie i niby marzące słodko o sobie...

*Ischia* czerniała już poza nami... Parowiec *Perseo*, na którym płynęliśmy, wyrzucając kłęby czarnego dymu z komina, które ginęły wkrótce bez śladu w sennym, świetlistym, słodkim lazurze włoskiego nieba, jechał wprost na czerniejący w oddali *Wezuwusz*, przysłonięty u szczytu chmurą ciemnego dymu...

Na ciemnych stokach *Wezuwusza* i na kapryśnie wijącym się, słodkim, zielonym tem wybrzeżu ziemskiego raju, białeły murami will i pałaców liczne miasteczka (*Pozzuoli, Torra, Annunziata, Torre del Gracco!* i inne hen! hen!... aż do *Sorrento*...) We mgle lazurowego oddalenia ciemniało jakoś grecko na morzu, wielbłądziami jakby garbami wylaniająca się z lazuru, cudna, słodka *Capri*...

— *Ecco Napoli!*... — zdobył się tylko na ten wymowny okrzyk zachwyty stojący obok mnie na pokładzie młody Włoch z Turynu, jadący do Aleksandrii, z którym zapoznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy zaraz po odbiciu naszego parowca od portu w *Genui*...

Rozmawialiśmy ze sobą po francuzku, przeplatając niekiedy wyrazami, a nawet całymi zdaniem włoskimi... Śpiwna, melodyjna mowa włoska ma to do siebie, że się ją wchłania, jak to wonne, słodkie powietrze, jak to włoskie, lazurowe niebo, jak ten grecki, atlasowy lazur morza... Nie ucząc się jej umyślnie (książkę z banalnemi, głupiemi rozmówkami już dawno cisnąłem do morza!), przyswajałem sobie tę boską, włoską mowę nieznacznie, niedostrzegalnie... Zalewała mi ona słodko duszę, niby cichy, łagodny przypływ srebrną frędzlą pian dzierzganego lazuru...

Gwarno się zrobiło obok nas na pokładzie... Oparta o białą, żelazną balustradę, odcinała się na lazurze nieba, niby czerwony posążek, mała, smągła, czarnowłosa, czarnooka włoszeczka, demoniczna kokietka, za którą przepadali pasażerowie wszystkich klas, kapitan, doktor i cała brudna, śniada załoga...

... Ale to nie ona, nie mała *Marietta*, okazała się dla mnie zdradziecką *Dalilą*... Może była ona dopiero jej zapowiedzią, projekcją z bliskiej przyszłości (po wylądowaniu w Neapolu...), trzepoczącą się teraz, jak ptaszkę, rozśpiewane morzem, słońcem, Neapolem i boskim lazurem nieba, po miłym, czystym pokładzie okrętu...

Istotna *Dalila*, mała żmijka neapolitańska, ukaże się dopiero za chwilę...

... — Niech no pan tylko popatrzy — mówił do mnie mój młody przyjaciel, kiedy nasz parowiec wpływał do portu — ilu to tutaj gapiów stoi na brzegu i zupełnie beczynnio przypatruje się nam!... Dzisiaj mamy dzień powszedni, roboczy, a te drapichrusty nic nie robią, tylko stoją tutaj od rana i przypatrują się apatycznie ruchowi w porcie...

Istotnie, na *molo* stała ciżba *lazzaronów*... Niektórzy z nich jakby z poczucia obowiązku powiewali kapeluszkami i wydawali jakieś leniwe okrzyki w zupełnie już niezrozumiałym, neapolitańskim *dialekcie*...

Przyznaję, że doznałem niemiłego rozczarowania... *Lazzaronów* wyobrażałem sobie zupełnie inaczej... Ci,

na których patrzyłem, dość porządnie, a niektórzy nawet dostatnio ubrani, nie mieli w sobie nic a nic tego malowniczego obszarpania, jakie sobie co do nich wyidealizowałem w duszy... Przytem stali, a nie leżeli, rozwaleni na granitowym, nadmorskim bulwarze, pakując sobie oburącz do gęby *macaroni*, jak ich imaginowałem sobie trochę chorobliwie...

— Może przedtem leżeli?... — zapytałem machinalnie młodego włocha, idąc za tokiem własnych myśli...

Sojrzał na mnie ze zdziwieniem... Był to smukły, zgrabny blondyn, trochę nawet ryżawy... Zupełnie nie wyglądał na płomiennego syna Italii ten *piemontese*, student z Turynu... Raczej na Niemca... Był rodzajem europejskiego *metysa*, gdyż matka jego, jak mi opowiadał, była Niemką... Ale podobno wielu Włochów, i nie mieszańców, zwłaszcza na północy, są błędami...

„Czego blondyna blondynowi życzy”... — zaśpiewało mi w duszy na tej czarownej, wysnionej, lazurowej zatoce echo dalekie mojego ojczystego kraju...

Jeszcze kiedyś byli na morzu, mój młody Włoch obiecał mi dopomóc przy wylądowywaniu (sam mi się z tem ofiarował...), gdyż, jak mi mówił, ciężko sobie dać radę cudzoziemcowi, zwłaszcza w samym początku, przy godzeniu fiakra, wyborze hotelu i t. p.

— Nie uwierzy pan, co to są za łajdaki, ci moi rodacy z południa!... — dodał mój *piemontczyk*, uśmiechając się trzeba tutaj na każdym kroku strasznie się pilnować... Niech pan zapnie kurtkę na wszystkie guziki!...

Smiałem się niedowierzająco, trochę obłudnie... Niepodobna przecie przypuścić zdrady pośród tych lazurów, palm (w oddali ciemniał, niby wizja rozkoszna, jak raj na ziemi, nad cichą, lazurową taflą morza, duży park miejski, pełen rzew „egzotycznych” i białych posągów, *Villa Nazionale*...), pod tem złotem, baśniowem, włoskiem słońcem...

Pośród piekielnego zgietku, jaki bywa zwykle przy wylądowywaniu (zwłaszcza w takim Neapolu!) posuwaliśmy się oba zwolna ku wyjściu, ku mostkowi, łączącemu naszego sapiącego, dyszącego *Perseo* z *molo*...

Zaledwie, wyrażając się poetycznie, postawiłem nogę na „ziemi neapolitańskiej”, kiedy z mrowiącego się w przystani tłumy gapiów, tragarzy i wszelkiego rodzaju drapichrustów obojga płci, poskoczyła ku nam, jak tygrysica (rzuciła się literalnie na nas...), mała neopolitaneczka z zapałkami, biegnąc natrętnie po mojej stronie i pchając mi gwałtem ładne, kolorowe pudełeczko do ręki...

— *Ite!... ite!*... (w neapolitańskim *dialekcie* znaczy to: odejź!... odejź!...) — darłem się ochryple, z rozpaczą, niby wyuczona papuga, doprowadzona do szalu przez niewrozę przyjazdu...

— *Iiite!... iite!*... — przedrzeźniała mnie przewlekle, pieśczołtliwie syrenim, słodkim głosikiem mała zalotnica... A czarne, błyszczące oczęta, niby żywe kwiaty, śmiały się do słońca, do tych lazurów, do „pięknego” Neapolu, do ojczystego wybrzeża *Santa Lucia*... Cere miała smągła, ogorzałą małą, nadmorskiej rybaczki...

I ani się spostrzegłem, jak to złodziejskie, greckie nasienie zwędziło mi małą, srebrną, oksydowaną spinę od mankieta z główką Napoleona... (Spinki te nosiłem już od lat kilkunastu i byłem do nich ogromnie przywiązany... Dzieląc ze mną tyle czasu dole i niedole, stały się już one dla mnie niby amuletami, rodzajem jakiegoś zmaterializowanego, tajemnego symbolu...) Na samym wstępie zostałem podle, beczelnie okradziony z połowy mojej napoleońskiej potęgi!... Mała handlarka zapałek przepadła w tłumie...

Zawyłem poprostu w obłędzie rozpacz, ku osłupieniu mojego towarzysza i niesłychanej ucieście dą-

żącej za nami procesjonalnie gromady gapiów... Widocznie tantalowo głodni wrażeń *lazzaroni* szli za nami przypatrywać się, jak będziemy wsiadali do fiakra...

Kiedy, namiętnie gestykulując (byłem już przecie w Neapolu!), urywanym od wzruszenia i obłędu, chrapliwym głosem opowiedziałem mojemu jedynemu znajomemu pośród tego obcego piekła, jedynej życiowej duszy, o spełnionej dopiero co, podłej kradzieży, której padłem ofiarą, i o jej tajemnym znaczeniu, z powodu którego stała się ona dla mnie jakimś duchowym kataklizmem, młody, wesoły, pełen życia i realizmu, student z Turynu (*piemontese!*...) spojrział na mnie nieufnie, podejrzliwie, jak na kiepskiego warjata, poczem z wesołemi błyskami w błękitnych oczach niemieckiego bursza, pożegnał mnie przy fiakrze najhałaśliwiej, najkordjalniej w świecie...

Zostałem sam na łasce losu, bez najmniejszej znajomości neapolitańskiego dialektu (z jedynym wyrazem *ite!*..., którym też ciskałem na wszystkie strony, jak piłką!...), pośród rozbawionego, wyjącego z uciechy tłumu...

...Zasiedziałem się głupio, obłądnie do śmiejącego się do mnie szelmowsko z kozła fiakra, czarnego, śniadego, płomiennego neapolitańczyka, niby jakiś zidjociały Hamlet z mglistej Północy...

Wacław Wolski.

## KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Charakter przejściowy ziem historycznej Polski.

Odczyt Wacława Nałkowskiego wygłoszony w dn. 17 Marca w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Kończąc serję odczytów „z dziedziny fizjografii ziem Polskich” (Weyberg, Lewiński, Wojcicki, Stołyhwo, Krzywicki, Nałkowski), prelegent założył sobie zbudowanie syntezy — połączenie tych „*dissecta membra*” w jedną całość; to jest postawił sobie naukowo-geograficzny problemat: jakie są cechy naturalne, które zapewniają Polsce indywidualność, czynią ją krajem geograficznym, oraz — jak czynniki te wpłynęły na losy dziejowe i charakter naszego narodu?

Główną cechę Polski jako kraju znalazł prelegent w *przejściowości* (zwłaszcza zachodnio-wschodniej) i to tak pod względem komunikacyjnym, jak i cechowym; to znaczy, że naprzód Polska jest dogodną *drogą*, bramą z zachodu na wschód, a powtóre — że cechy geograficzne zachodnio-europejskie *przechodzą* z wolna we wschodnio-europejskie.

Prócz tego znalazł prelegent w Polsce jeszcze jedną cechę, podrzędną symetrię w układzie form, to jest taki ich układ, iż formy części północnej odpowiadają formom części południowej a linja dzieląca je, oś symetrii przypada na bródzę równoleżnikową, środkową, czyli „Krainę Wielkich Dolin” — I w tej cesze podrzędnej odbija się cecha główna — *przejściowość*: symetrija ku zachodowi zanika, ku wschodowi z bogaca i rozwija — od morza do morza.

W końcu prelegent przedstawił geograficzny bieg dziejów w zależności od charakteru przejściowego Polski. Kraj ten bronił półwyspowej cywilizowanej Europy zachodniej od wschodniego barbarzyństwa; Polacy musieli wciąż staczać ciężkie walki z „niewiernymi”; były to wojny pańskie” (t. j. boskie), wojownicy byli „wiarą”, wiarusami. Stąd wielka przewaga stanu wojowników, szlachty i kapłanów, księży, zależności od Rzymu, klerykalizm, opóźnienie rozwoju umysłowego. Patryjotyzm po wielkich ciosach dziejowych uległ hipertrofji, stał się mi-

stycznym, zwróconym w przeszłość, smutnym, rezygnacyjnym.

Lecz możliwy jest i inny wpływ przejściowości i niepokojów: na wyspach wichrowych oceanu rozwinęły się dwa gatunki owadów — jedno bez skrzydeł, przyziemne, drugie o skrzydłach wyjątkowo silnych, stawiających opór wiatrom. Tak więc problemat wpływu przejściowości na dzieje i charakter narodu ma dwa rozwiązania; już pewien pisarz 16 stulecia zwrócił uwagę, że ponieważ Polska nie ma silnych granic, jest otwarta dla wroga, więc obrony szukać musimy w naszych rękach, gardłach, w naszych piersiach i sercach. Podnosząc te słowa dawno wyrzeczone, prelegent zwrócił uwagę, że w tę formułę dziś należy podstawić wartości nowe; jednak tych nowych wartości nie podstawią już te warstwy, które odegrały swą rolę dziejową: podpadają one coraz bardziej w reakcję, pochodnia dziejów wypada im z ręki i gaśnie. Ale podejmą ją i rozniecą inne warstwy naszego narodu, które budzą się obecnie w ciężkich paroksyzmach do życia dziejowego.

Obok tej serji odczytów — „z fizjografii ziem Polskich”, odbywały się również odczyty „z ziemioznawstwa” (Sosnowski, Chmielewski, Łaganowski, Nałkowski, Sujkowski, Krzywicki, Dzierżyński) w których Nałkowski wygłosił odczyt o „przedmiocie geografji”.

Odczyty powyższe przedsięwzięte przez naszych *eksnauzycieli geografji* miały dowieść iż geografja wogóle i geografja naszego kraju w szczególności, mimo wszystko, żyje. Zdawałoby się, iż tego rodzaju odczyty powinny być przyjęte z entuzjazmem przez publiczność, podniesione przez prasę. Tymczasem publiczność uczeszczała na nie tak nielicznie, iż podobno przyniosły one decyfit, a nasza prasa odniosła się do nich mało powiedzieć obojętnie: często nie zawiadamiała zupełnie o dniu odczytu i przeważnie nie zamieszczała sprawozdań. Wyglądało to poprostu na bojkot tych odczytów! Charakterystyczne i „obywatelskie!”

## Z TEATRU.

„Wielki Fryderyk“ Adolfa Nowaczyńskiego.

### I.

„Wielki Fryderyk” jest bezpośrednim następcą „Boga wojny”, Napoleona.

Gdy się czyta „Boga wojny” Adolfa Nowaczyńskiego nie można nie myśleć o epizodzie Napoleońskim Bernarda Shaw. Shaw umiłował nadewszystko dramatyczne przewartościowanie wartości: społecznych, historycznych, uczuciowych. Zasadnicze, najważniejsze pokrewieństwo między temi dwoma utworami polega na dążeniu do pokazania bohatera Napoleona w stroju nieoficjalnym. Mamy zobaczyć odwrotną stronę medalu: małe, nędzne stany duchowe (i fizyczne) wielkiego człowieka. Shaw jest irlandczykiem, Nowaczyński jest polakiem. Shaw korzysta ze sposobności, aby przez usta Napoleona, który jak wiadomo nienawdził anglików, wypowiedzieć im ostre, gorzkie i bezwzględne słowa prawdy. Nowaczyński pisze swą sztukę, ażeby wykazać niesprawiedliwe i zgoła podle postępowanie Napoleona względem polaków. U Shaw'a jest to wycieczka krótka, nie wywierająca wpływu na akcję ani na myśl przewodnią sztuki. U Nowaczyńskiego jest to tendencja.

I „Wielki Fryderyk” jest utworem tendencyjnym. Już samo ironiczne przeniesienie akcentu logicznego na przymiotnik w tytule jest wyrazem zamiaru autora. Z tego stwierdzenia (jeżeli uda mi się je udowodnić) nie pragnę wykuć druzgoczącego pocisku, ale też nie może być ono materiałem, z którego da się uwić wieniec laurowy dla

twórcy. Przypomnę tutaj p. Nowaczyńskiemu, co pisał sam o „obywatelskich” dążeniach różnych artystów. Aczkolwiek pochłaniałem niegdyś z przejściem jego facecje, nie przejąłem się nimi o tyle, aby stosować dzisiaj tę samą metodę przy ocenie zjawisk literackich. Jak musiałaby brzmieć moja krytyka już po ustaleniu tego pierwszego faktu!..

Nie będę się zatem posługiwał metodą p. Nowaczyńskiego—krytyka przy ocenie dzieła p. Nowaczyńskiego-dramatopisarza. Obawiam się bowiem że mógłbym być niesprawiedliwy. Rozpatrzmy się raczej w kompozycji utworu.

## II.

Ujęcie perspektywy dziejowej—najważniejszy postulat dla dzieła naukowego — modyfikuje się bardzo, gdy chodzi o koncepcję artystyczną.

Dana postać urasta tutaj z natury rzeczy do rozmiarów olbrzyma, a otoczenie całe bierze na siebie rolę karłów, zależnych od skinienia pana i władcy. Stosunek drobnych mieszkańców lasu do królewskiego dębu; z tej samej gleby soki swe ciągnie, lecz szerzej roztaczając korzenie, więcej ich dla siebie zdobywa; od rozmieszczenia jego gałęzi zależy, czy otoczenie może cieszyć się promieniem słońca, czy też w wiecznej ma pozostawać pomroce; a gdy się wali dąb, rozgniąta ciężarem swoim wszystko w promieniu swego upadku.

Obraz ten nie wyczerpuje istoty rzeczy. Należy pamiętać, iż moment biologiczny musi być zastąpiony tutaj przez moment duchowy, pierwiastkom życia roślinnego muszą odpowiadać elementy psychiczne.

Natomiast Fryderyk Nowaczyńskiego jest dębem królewskim naszej przemożności niemal dosłownie. Przewaga przemysłowego intelektu jest podniesiona tutaj do godności żywiołu. Niema nikogo, kto mógłby się zmierzyć z nadludzką potęgą króla pruskiego. Nikt i nic go zachwiać nie zdoła. Dwóch jest ludzi, którym nie braknie odwagi, aby majestatowi w oczy prawdę powiedzieć: papa Zieten i Fryderyk Wilhelm. Ale odwaga ta trwa jeno przez krótką, zwodniczą chwilę.

Zniedołężniały starzec musi ukorzyć się (choćby tylko z fizycznych względów) przed władzą najjaśniejszego wodza. A Fryderyk Wilhelm jest wszak zainteresowany osobiście w zachowaniu pruskiego stanu posiadania i pruskiej racji stanu; daje się też łatwo nawrócić (zbyt łatwo!) na wiarę twórcy królestwa pruskiego.

A inni? Bischofswerder wypowiada na kwaterze biskupa zdania od króla swe zdanie o nim: „Jest to genjusz! i wielki! atoli bez czci, wiary, bez miłości i bez godności”. Wypowiada zdanie autora. Mowiński reaguje milczącym protestem na postępowanie Fryderyka. Gockowsky umie tylko żalić się, wyrzekać i płakać. A najodważniejsi z nich wszystkich Justyna Gockowska i Tadeusz Krasicki szukają w samobójstwie ucieczki przed fatalną, przemożną siłą ducha pruskiego. I wielka, głęboka prawda jest w słowach Fryderyka, wyrzeczonych nad trupem młodzieńca: „To na takowy jeno heroizmus zdobyć się umiecie, polaki!”

Zło zwyciężyło na całej linii. I gdy się słyszy z ust Kamińskiego ostatnie zdanie sztuki „Allons souper!”, wspomina się mimowoli owo „Voilà!” Molnarowskiego „Djabła”...

## III.

W „Wielkim Fryderyku” tendencja działa na szkodę pierwiastka artystycznego. Potęga pruskiej racji stanu olbrzymieje tutaj do rozmiarów przesadnie wielkich w stosunku do Niemcy polskiej.

Król pruski staje się legendarnym genjuszem rozumnej złośliwości, a postacie otaczające bledną, nikną, przeistaczają się w cienie chińskie, zależne od poruszenia ręki koronowanego sztukmistrza.

Pierwiastek polskości przeistacza się w skarb nie z tego świata. Wszyscy występujący w sztuce polacy,

a za nimi cały naród polski nie posiada żadnej wartości życiowej, którą możnaby skutecznie przeciwstawić potędze pruskiej.

Zamierzenie satyryczne zmąciło czystość artystycznej koncepcji. Żywa krew, tętniąca w naczyniach, które łączą, twórczą psyche autora z sercem płodu, została zanieczyszczona domieszką żółci.

I to ma być prawda „wedle możliwości ludzkich i polskich najprzedmiotowsza?” (str. V). Czy Mickiewicz rozumiałby to tak samo?.. Miejmy nadzieję, że nadejdzie czas, gdy poeci nasi potrafią znowu znaleźć czysty zupełnie wyraz artystyczny dla zmagania pierwiastku polskości z wrogą siłą przemocy.

## IV.

W interpretacji p. Kamińskiego zauważyłem jeden szczegół, za który byłem mu serdecznie wdzięczny. Oto gdy Rohdich opowiada o samobójstwie Justyny, p. Kamiński ma wyraźny odruch przerażenia, chociaż autor każe mu być tylko „zdziwionym i niedowierzającym”. Ten złośliwy, ohydny, odrażający starzec może więc doznawać uczuć ludzkich... Ta drobna poprawka tekstu jest prawdziwym ukoronowaniem przepysznego kunsztu wirtuoza, widnego w opracowaniu całej kreacji. Może znalazłoby się w wykonaniu tej roli więcej takich ledwie dostrzegalnych odcieni. Jeżeli moje obserwacje nie są złudzeniem, to wolę Fryca-Kamińskiego od „Wielkiego Fryderyka”.

P. Wojdałowicz był wyborny jako smakosz i sybaryta, ale może zbyt folgował temperamentowi w całym swym zachowaniu; było w tem nieco zbyt mało wyrafinowanej galantuomji światowego biskupa. Natomiast p. Janusz był za sztywny w swej utrudnionej przez konieczne skrócenie roli następcy tronu. Pp. Duleba-Piotrowska i Lubicz-Sarnowska powinny silniej uwydatnić kontrast pomiędzy żywym usposobieniem rezolutnej Justyny, a marzycielsko-melancholijną naturą Kunegundy. P. p. Lüdowa, Bednarczyk, Knake-Zawadzki, Brydziński, Lenczewski i Rożański wyróżnili się zaszczytnie pośród dobrego nagół zespołu.

J. M. Muszkowski.

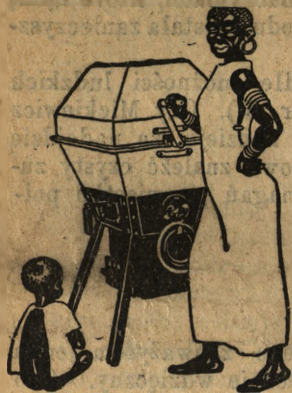
## K R O N I K A.

„Widnokregi” dwutygodnik poświęcony kulturze polskiej. (Lwów). № 1 zawiera prace następujące: „Jak studjować filozofję przez prof. Kaz. Twardowskiego. „Chopin i muzyka polska” przez Ad. Chybińskiego, „Kamerton śmierci” (wyjątek z dramatu) przez Kar. Irzykowskiego, „Literackie schematy” przez Tad. Dąbrowskiego, „Królowa marzeń” przez Fel. Przysieckiego, Teatr lwowski, „O stylu i jego czystości” przez Mar. Olszewskiego, Przegląd społeczny, Przegląd muzyczny, Głosy.

Komitet redakcyjny tworzą: Bronisław Biegeleisen, Leon Biegeleisen, Tadeusz Dąbrowski, Józef Jedlicz, Marj. Olszewski, Ludomir Różycki.

Na stypendjum im. Jadwigi ze Szczawińskich Dawidowej p. W. Rzeczkowa rb. 5.

## Nawet w Afryce



piorą murzyni bieliznę na  
JOHNA maszynie do prania

### „Cała Para“

We wszystkich krajach cywilizowanych od dawna znane są zalety nowoczesnej tej praczki. Oszczędza się bieliznę, zyskuje wiele na czasie i wydatkach. Wygoda, równoczesna dezynfekcja i oszczędność.

Prospekty gratis

TOW. AKCYJNE

**J. A. JOHN**

Warszawa, Hortensja 7.

MACZKA  
**NESTLÉ**  
MLECZNA

Idealny pokarm  
dla niemowląt  
oraz dla osób dorosłych — chorych  
na żołądek.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

**HERBATA z gór Harcu**

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

**UWAGA:** Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

**JOZEF GROSSMAN.** Warszawa, Śliska № 83a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają

**PASTYLKI**

**GERAUDEL'a**

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę, katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

**UWAGA.** Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Killingsland. Warszawa”.

J. WŁ. DAWID.

## MÓZG i DUSZA

Treść: Inteligencja a ciężar mózgu. Fizjologiczny podkład życia duchowego. Teorie paralelizmu i wzajemnego oddziaływania duszy i ciała.

CENA kop. 30.

## „KURJER”

Pismo Codzienne

Polityczno-Społeczno-literackie w Lublinie.

**KURJER** jest prowadzony od 3-ch lat przez grono inteligencji w duchu postępowym. Jako organ wolny i niezależny podjął przede wszystkim zadanie służenia demokratyzacji społeczeństwa polskiego ze szczególniejszym uwzględnieniem warstw pracujących.

**KURJER** wskutek swojego programu narażony jest na ciągłe i nieustanne walki z obskurantyzmem i wstecznictwem — zakorzenionymi na nieszczęście jeszcze tak głęboko w naszym narodzie.

Mimo to, dzięki bogatemu materiałowi literackiemu — dzięki śmiałości i szczeremu podejmowaniu wszelkich kwestji społecznych — Kurjer zajął wyjątkowe stanowisko w naszej prasie prowincjonalnej.

Dążeniem Kurjera jest przez ciągłą i wytrwałą pracę stworzyć wielką kulturalną placówkę, jednoczącą wszystkie wysiłki ludzi, którym istotnie dobro kraju leży na sercu.

Prenumerata „Kurjera“ wynosi:

w LUBLINIE

Rocznie rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 60, kwart. rb. 1 k. 30, mies. kop. 45.

Z przesyłką pocztową

Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwart. rb. 1 k. 50, miesięcz. 50 kop.

Zagranicą: wysyłamy codziennie — kwartalnie rb. 3,

wysyłamy półtygodniowo — kwartalnie 2 rb.

Adres Redakcji i Administracji: **Lublin, Krak.-Przedm. 60.**

Skrzynka pocztowa № 62.

**Cena ogłoszeń:** Na 1 stronie wiersz jednoszpaltowy petitem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo 4 rb., następne razy 3 rb. Nekrologi za wiersz 25 kop.